TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

CZY KATOLICY ROZUMIEJĄ SZTUKĘ? 4D – DRUGA DROGA DLA DUCHA

Adam Kawałek · 21 kwietnia 2021



„Może się wam wydawać, że kraje misyjne to tylko kraje w biednej Afryce. Ale krajem misyjnym jest też Japonia, gdzie oni mają te nowoczesne komputery". Przytoczona wypowiedź siostry ze zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Maryi, którą usłyszałem na początku lat 2000, wywarła na mnie tak ogromne wrażenie, że pamiętam ją do tej pory. Przecież posiadać wtedy komputer, to było COŚ, o podłączeniu do internetu nie wspomnę. Tym bardziej że byłem dzieckiem z lat końcówki wczesnego polskiego kapitalizmu, które żyło w świadomości, iż jest tylko biedakiem z zacofanego kraju bez perspektyw, rządzonego przez zdemoralizowanych postkomunistów. Japończyk jawił się wówczas niczym nadczłowiek, postać wręcz mistyczna. Okazało się jednak, że dla Kościoła stoi on w jednym rzędzie z czarnoskórym dzieckiem, które musi spać w lepiance i chodzić pięć kilometrów po wodę. Z kolei, dla siostry misjonarki pewnie byłoby równym szokiem, gdyby jej wtedy powiedzieć, że jakieś 75% dzieci, które miała pod opieką, przyłoży się do tego, żeby także Polska stała się krajem misyjnym.

Trudno się temu dziwić, bo XXI wiek z każdym rokiem stawiał im masę trudnych pytań, a Kościół, z którym mieli styczność, kazał im przebierać się za „Murzynków" i zbierać pieniążki dla Afryki albo

tworzyć różańce z jarzębiny. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby jednocześnie nie zostawiał ich często bez odpowiedzi na elementarne pytania o istotę poszczególnych aspektów wiary. Lukę w tych odpowiedziach wypełniali propagatorzy nowoczesności i telewizja, z czasem ustępująca miejsca Netflixowi. Oni bardzo konsekwentnie tłumaczyli i wizualizowali swoją liberalną wizję świata. Gdy stawiano kolejne pomniki papieża, kultura popularna, jak i wysoka intensywnie pracowały, żeby mojemu pokoleniu nie tylko wyłożyć teorię nowej moralności, ale nadać im namacalną wizję wypełnioną własną ikonografią i symboliką. I tak w ciągu jednej zmiany pokoleniowej zrobiliśmy kolejną falę sinusoidy. Od krzyża wiszącego w każdej komórce i stołówce doszliśmy do miejsca, gdzie oglądający „Milczenie" Martina Scorsese youtuber Stelmach, nie może zrozumieć, dlaczego katolik nie chce podeptać wizerunku Chrystusa, aby uchronić się przed torturami. Zbiór kilka dekad temu oczywistych pojęć stał się kompletnie niezrozumiały. Jak na tę rewolucję zareagowała sztuka katolicka w ojczyźnie największego papieża? No cóż...

Panu Bogu cerkiew, a diabłu czarne akty

Zdaje się, że w ogóle tego zjawiska nie zauważyła i nadal stawia pomniki człowiekowi, który ich nie chciał. I to jeszcze gorszej jakości niż dawniej. W 1955 roku kard. Stefan Wyszyński napisał „Jak ongiś mrowie wojsk najeźdźczych, tak dziś szturmują polską Jasną Górę istne fale potopu świata, wżerając się w mury duszy Narodu nienawiścią imienia Bożego, pasją grzechu i potwornych nałogów. Polska Jasna Góra jest podminowana przez ducha nienawiści społecznej, przez programową apostazję moralną, przez zadawnione wady narodowe [...]. Stokroć to groźniejszy potop od szwedzkiego". Polacy lat 90-tych stwierdzili, że słowa Prymasa Tysiąclecia to pieśń przeszłości. Atak został odparty, wróg pokonany i trzeba świętować, jedząc kremówki i śpiewając „Barkę" w Częstochowie. Tymczasem szturm tylko nabierał na sile, zostawiając wiernych praktycznie bezbronnych.

> Jak do tego doszło, że tak prężna jeszcze niedawno wspólnota Kościoła Katolickiego, która posiada wpływy w środowiskach twórczych, nie zostawiła nam w spadku prawie żadnych odwołań w kulturze? Odpowiedź usłyszałem kiedyś od pewnego konserwatysty. Twierdził, że wynika to z samej natury człowieka twórczego, która lubi chodzić własnymi ścieżkami, spoglądać na rzeczywistość z innej perspektywy niż reszta, w związku z tym wejście w sztywne ramy Kościoła nie jest artyście przeznaczone. Takie postawienie sprawy jest chyba jednak wyrazem bardziej kapitulacji niż rzeczowej analizy.

Dla wielu znakomitych artystów ramy wyznaczone katolicką etyką przez lata nie stanowiły żadnego problemu. Argument o niechęci do wchodzenia w krępujące i niewygodne sytuacje też nie wydaje się trafiony, patrząc chociażby na działalność takich twórców jak Marina Abramović, która w „Bałkańskim baroku" dla swoich poszukiwań potrafiła na kilka dni zamknąć się w piwnicy ze stosem gnijącego mięsa. Mało jest zresztą tak pociągających spraw dla twórcy, jak realne sacrum, które w Kościele stanowi fundament. Zresztą nawet dzisiaj można bez problemu znaleźć rzeszę twórców, którzy dokonują eksploracji sfery sacrum, opartej jednak na ogół w opozycji do sacrum obecnego w Kościele. Część z nich można znaleźć w opracowaniu Pawła Możdżyńskiego z 2013 roku, a z tych zupełnie dzisiejszych przywołać grupę Kościół Nihilistów, która m.in. tworzy wystawy z rozbitych nagrobków. A więc nawet w drugiej dekadzie XXI wieku Kościół Katolicki ze swoją nauką nadal stanowi ciekawe i kuszące źródło odniesień do

własnych poszukiwań. Jednak powód tego, że najciekawsze z tych poszukiwań stoją w opozycji do nauki Chrystusa, leży w mojej ocenie zupełnie gdzie indziej. Mianowicie w dysproporcji wyborów, jakich twórcy katoliccy dokonują na swojej drodze rozwoju. A drogi do wyboru są dwie. Twórca wierzący może zostać twórcą sztuki sakralnej, rozumianej jako tej, która innym wiernym pomaga doświadczyć *numinosum*, zbliżyć się do niedostępnego. Ta ścieżka wymaga od niego bardzo dobrego warsztatu rzemieślniczego i szerokiej wiedzy historycznej. Z pewnością jest też bardzo opłacalna ekonomicznie, bo zapotrzebowanie na sztukę wypełniającą kościoły czy wspomniane wcześniej pomniki papieża nadal w Polsce jest duże. Ta droga kusi również innym aspektem. Tworzenie sztuki skierowanej na doświadczenie *numinosum* samo pozwala go doznać. Twórczość ta jednak posiada dość zasadniczy problem, w XXI wieku jej program ewangelizacyjny w pewien sposób się wyczerpał. O ile dawniej mogła służyć tworzeniu spójnego zbioru wyobrażeń na temat wydarzeń przedstawionych w Piśmie Świętym i pomagać w edukacji niepiśmiennych, o tyle dzisiaj stała się w znacznej mierze odtwarzaniem starych form i przetwarzaniem ich, aby dostosować je do wymagań estetycznych narzuconych sobie przez twórcę, czy jak to częściej ma miejsce, z oczekiwań narzuconych przez odbiorców. Ten rodzaj sztuki w znikomym stopniu bierze udział w najważniejszej misji, jaka stoi przed sztuką Kościoła, czyli przypominania o istocie wartości, jakie stoją za jego symbolami i rytuałami. Nawet jeden z najwybitniejszych polskich artystów minionego stulecia Jerzy Nowosielski nie dał rady przejść przez tę barierę. Jego sztuka sakralna to jedno z najciekawszych zjawisk, jakie wyrosło w Polsce okresu PRL-u. Krzyż w kościele warszawskich dominikanów czy jedyne dzieło architektoniczno-malarskie, jakim jest cerkiew w Białym Borze to doskonałe dziedzictwo, które zostawił nam po sobie mistrz. Trochę inaczej ma się sprawa z całą resztą jego twórczości. O ile poziom artystyczny utrzymuje się na jednoznacznie wybitnym poziomie, o tyle to, co wystawiał w galeriach, pod względem treści, funkcjonuje w oderwaniu od tego, co Nowosielski zostawiał w kościołach. Patrząc na sacrum, którego dotyka chociażby w kontekście cielesności, to z pewnym smutkiem trzeba przyznać, że w tej części dorobku łatwiej znaleźć szeroko komentowane problemy z seksualnością artysty, niż ideę czystości, jaka od zawsze była w Kościele obecna. [1]

CZYTAJ TAKŻE: Kościele, dlaczego mówisz do mnie po chińsku?

Brokatowe płody

Z obrazu pierwszej możliwej drogi, na zasadzie kontrastu, wyłania się druga, nie tak atrakcyjna i z góry skazana na niezrozumienie. Ta droga stawia na tworzenie, które nie stara się wywoływać duchowych uniesień, czy robić za tło do religijnych rytuałów, a tłumaczyć to, co zostało zapomniane. Konsekwentnie przybliżać poszczególne prawdy, jakie niesie nauka Chrystusa i ukazywać w nich sens. I tutaj pojawia się problem, bo ta pierwsza kategoria artystów-rzemieślników tak mocno zagospodarowała moce przerobowe wiernych Kościoła, że mało ich pozostało na sztukę skierowaną do nieprzekonanych, których z każdym rokiem przybywa w sposób wykładniczy. Ta pustka jest tak przytłaczająca, że nawet podlegający Adamowi Michnikowi „Szum" stwierdził z pewną dozą smutku, że mało jest artystów katolickich, którzy wnosiliby coś ciekawego. Oczywiście raz na jakiś czas pojawiają się pojedyncze głosy, które dają nadzieję na przełamanie tego stanu rzeczy. Warto wspomnieć niedawną wystawę w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej „Mit, kult, wiara", gdzie troje profesorów z warszawskiej ASP podzieliło się swoim malarstwem i rysunkiem, dotykającym takich tematów, jak obecność Chrystusa i demonów w naszym życiu. Kilka lat temu wielkie nadzieje można było pokładać w Kubie Marii Mazurkiewiczu, który w jednym z zeszytów Pracowni Struktur Mentalnych stawiał bardzo radykalne tezy na temat roli sztuki w służbie religii. „Na pierw-

szy rzut oka wydaje się, że współcześni artyści nie boją się metafizyki, czy religii. Często dotykają tych płaszczyzn jednak w sposób skrajnie abstrakcyjny lub banalnie krytyczny. Obrazy, instalacje mają duchowy charakter, ale nie wiadomo, o którego ducha chodzi. (...) Nie chodzi oczywiście o to, żeby wszystko było dosłowne i całkowicie konkretne, ale pokazywanie wyłącznie wyabstrahowanej religijności jest poważnym zakłamaniem, zamknięciem oczu na otoczenie. Przyzwoitością wydaje się zwrócenie uwagi na fundamentalne znaczenie dla kultury jej rodowodu. Na przykład dla sztuki europejskiej, również współczesnej (czyli tworzonej bieżąco) fundamentem jest osadzenie w kulturze chrześcijańskiej. Nawet negacja opiera się na jakiejś podstawie. Bez określenia podstawy wszystkie działania stają się wyjątkowo puste" pisze K.M. Mazurkiewicz w swojej „Szopie". Jego późniejsze losy skierowały go w stronę kariery akademickiej, a dostępna twórczość w postaci m.in. artystycznych memów sugeruje, że poszedł w stronę religijności pokroju Szymona Hołowni i magazynu „Kontakt", która zapomina o mieczu, jaki Chrystus przyniósł na świat i stara się łączyć katolicyzm ze światem na zasadzie podkreślania elementów wspólnych oraz grzecznego milczenia o tym, czego połączyć się nie da. Mam nadzieję, że mylę się w tej analizie i jeszcze zobaczymy jego twórczość tak stanowczą, jak ta z siódmego zeszytu PSM, ale na razie nic na to nie wskazuje.

Jest jednak pewne zjawisko w katolickiej sztuce współczesnej, które śmiało można zaliczyć do drugiej drogi, i któremu nie da się zarzucić niekonsekwencji. To zjawisko jest kobietą i nazywa się Ada ADU Karczmarczyk. Artystka, jak sama mówi, przeżyła w pewnym momencie życia duchową przemianę, a odpowiedzi na stawiane sobie pytania znalazła w Bogu. Od tego czasu, aby dotrzeć do jak najszerszego grona osób i zaprezentować im stare prawdy wiary w świeżej odsłonie, zaczęła wykorzystywać narzędzia, jakie oferuje popkultura i media masowego przekazu. Robi to ze zdecydowaną konsekwencją i bezkompromisowością, wplatając w twórczość tak niepopularne w mainstreamie treści, jak świętość życia poczętego czy odejście Unii Europejskiej od chrześcijańskich korzeni. Z drugiej strony, nie boi się krytyki płynącej od konserwatystów, co widać chociażby w jej filmie „Hej husarzu", będącym komentarzem do tematu instrumentalnego podejścia środowisk narodowych do religii i ojczystych symboli w ramach rozgrywek politycznych. Do twórczości ADU nie da się podejść bezkrytycznie. Brokatowa estetyka, mimo że przyjemna i konsekwentna, zbyt często sprawia wrażenie ironicznej. Dobrego pop-u nie da się stworzyć bez podziału pracy i wielkich nakładów finansowych, a ADU robi wszystko sama i niewielkim budżetem. Takie działanie skazuje ją na tkwienie w sferze kiczu i to niestety nie tego kampowego, ale zupełnie przypadkowego. Niebezpodstawne są też pytania o to, czy w jej twórczości na pierwszym miejscu stoi faktycznie Bóg, czy zgodnie z doktryną pop-u, sama artystka, która stara się na nim tylko zbudować swoją karierę. Również warstwa treści pozostawiać może wiele do życzenia, co rozłożyła na czynniki pierwsze Aleksandra Sikora w 11. numerze „Arteonu". Jednak, mimo wszystkich wątpliwych kwestii, bez wątpienia Ada Karczmarczyk jest fenomenem, który pokazuje, że druga droga dla twórcy wierzącego jest możliwa. Niestety dalej pozostaje na tej scenie odosobnionym przypadkiem, którego nie da się z niczym nawet porównać.

Paradoksalnie dowody na możliwość podążania drugą drogą często przychodzą z niespodziewanych kierunków. Warto chociażby spojrzeć na malarstwo Beaty Ewy Białeckiej, które z powodu łączenia wątków ikonografii chrześcijańskiej z mocno wyeksponowaną kobiecością, szybko zostało okrzyknięte feministycznym i bluźnierczym. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej złożona, a mniej polityczna. Tematem przewodnim jej malarstwa często staje się macierzyństwo i życie poczęte wraz z jego wartością. Szczególną uwagę warto zwrócić na obraz „Mdłości" z 2014 roku, na którym główna bohaterka w konwulsjach wydala ze swojego organizmu baranka, znak Chrystusa. Ten pozornie obrazoburczy przekaz skrywa w

sobie głęboką prawdę o szkodzie, jaką taka postawa powoduje w kondycji człowieka, zupełnie nie wpływając na stan Baranka. Takich przykładów pewnie dałoby się znaleźć znacznie więcej, jak chociażby „Żółte flamastry i grube katechetki" rapera Maty. Pokazują one jasno, że stare prawdy da się przekazywać w ciekawy i nieoczywisty sposób, jednak wymagają one od wierzących twórców odwagi w wyborze tej drogi i konsekwencji w działaniu.

CZYTAJ TAKŻE: „Nie zakazujmy aborcji, dokarmiajmy dzieci". A co na to Ewangelia?

Połamany ikonostas

Dramat uknutej przeze mnie teorii dwóch dróg polega na tym, że nie są one w stanie bez siebie istnieć.

> Jeśli Kościół odpuścił walkę o kulturę, to z pewnością nie odbyło się to bez wpływu na zrozumienie jego nauczania, a co za tym idzie, na ilość wiernych. Mniej wiernych, to z kolei mniej pracy i wyrozumiałości dla tych, którzy obrali starą utartą drogę tworzenia sztuki sakralnej. Na chwilę obecną widzę jedno wyjście z tego błędnego kręgu: świadomy wybór przez wierzących artystów drugiej drogi twórczej i konsekwencja w podążaniu nią.

Wydawać by się mogło, że nie ma nic prostszego, jednak rzeczywistość nie jest tak kolorowa, bo dla twórcy jest to realne przyjęcie krzyża. Państwowa edukacja artystyczna nie dała Polakom zbyt wielu narzędzi do patrzenia na sztukę i świadome wejście w ten świat wymaga na ogół dużego wysiłku we własnym zakresie. W kręgach religijnych sytuacja ma się jeszcze gorzej, bo wyczuleni na to, co Mazurkiewicz nazwał sztuką „banalnie krytyczną", wolą rozwiązania łatwe, znane i stabilne. Wyjście poza stabilną katolicką sztampę jest do tego stopnia niekomfortowe, że środowisko portalu Prawy.pl miało w pewnym momencie straszyć Adę Karczmarczyk prokuraturą. Wyjątkiem nie jest nawet wspomniany Nowosielski, który przez całe życie musiał zmagać się z niezrozumieniem, pogardą, a nawet zniszczeniem przez tłum wściekłych wiernych jego ikonostasu. A nie był przecież rewolucjonistą. Zniszczony ikonostas to nie jedyna sytuacja, w której niszczono jego dzieła. Czasami zamalowywano nawet całe programy malarskie, jakie mistrz zaplanował i kompleksowo zrealizował dla kościołów, tak aby dopasować się do uśrednionego gustu wiernych. Niech przykład śp. Jerzego Nowosielskiego zostanie nam w głowie, jako znak, że bez edukacji płynącej ze struktur Kościoła, jak i z samokształcenia wiernych, przełomu w sztuce katolickiej raczej nie będzie.

---

[1] Krystyna Czerni „Nietoperz w świątyni. Biografia Jerzego Nowosielskiego"

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/czy-katolicy-rozumieja-sztuke-4d-druga-droga-dla-ducha/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć